Nr 9. W PIĄTEK
Dnia 14 Czerwca 1833 roku.

ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉY.

PRZYGODY MŁODSZEGO SYNA.
(Z dzieła Angielskiego: Adventures of a Younger son 3 vols. London. 1832.)
(Ciąg Dalszy.)

»Trwoga śmiertelna, która mię po tym upadku opanowała, niemożność oddychania, martwa nieczułość wszystkich członków moich, których zmysłowa drażliwość z niewypowiedzianemi boleściami ścisnęła się w méj piersi, okropne uczucie szybkiego jak błyskawica upadku bez możności złagodzenia go, przekonanie o bezowocnéj męce, konwulsyjnemi natężeniami spowodowanéj, wszystko wzięte razem było dla mnie męczarnią piekła, któréj opisać nie podobna. Mróz śmiertelny przechodził po mnie, nic nie widziałem, ani słyszałem, tylko jakiś zgiełk pomieszany obijał się niekiedy jeszcze o moje przytłumione uszy. Nareszcie zdawało mi się, jak gdyby mi kto głowę i piersi rozbijał; widziałem niewyraźnie pomieszaną massę rozmaitych postaci i straszydeł, które płynąc, ku minie zmierzały; czułem okropną odrazę i źle mi się robiło. Drżałem na wszystkich członkach, kłapałem zębami, zdawało mi się, że raz jeszcze będę musiał rzucić się w morze i miotałem się w konwulsyjnych poruszeniach. Stan ten przerażający trwał bez wątpienia czas długi; pierwsze uczucie, jakie sobie wyraźnie przypomnieć mogłem, było wrażenie, któregom doznał, usłyszawszy głos Kapitana Aston, wołającego na mnie: »Jakże ci jest teraz?« Chciałem mówić, ale nie mogłem. Usta moje poruszały się nie wydając głosu. »Jesteś na pokładzie,« rzekł Kapitan, »i nie lękaj się niczego.« Pojrzałem na około siebie. Zdawało mi się, że wszystkie pory ciała mojego napełnione są wodą, i że przez to wszystkie moje nerwy na raz wstrząśnione zostały. Całe czterdzieści godzin dręczony byłem nieznośnemi męczarniami. Miemałem, że nos mój, uszy i usta, tysiącami szpilek przebite. Lecz czémże były wszelkie katusze, skoro cel mój osiągnąłem!«

Nie zdajeż się nam, że czytając tę historyą, czytamy życie Demona, który przez innych Demonów z przepaści wydobyty, przygotowuie się do jakiegoś okropnego czynu.

Nowy bieg życia rozwinął mu się teraz. — Trelawnéj został piratem i krążył po morzach Wschodu. Widownią dzieł jego był Ocean Indyjski, były wyspy Archipelagu Indyjskiego, cieśnina morska Sundy, kraj miłości i zapału; pod stopniami szerokości, gdzie wszystko życiem i wonią oddycha, gdzie każda trawka zapachami presiąkła, gdzie słońce pała i zabija, gdzie wiatr zwyczajny iest upajają.

cém tchnieniem aromatu, i gdzie wszystko jest olbrzymie, listek na drzewie, dusza człowieka i jego namiętności, w takiéj to okolicy obrał sobie Trelawnéj siedzibę, w któréj na długo pozostał. *Isle de France*, *Madagaskar* i kanał *Mozambiku* były to najdalsze punkta zachodnie, do których się jego wycieczki rozciągały. Tu połączył się z pewnym człowiekiem, równie awanturniczym, jak on sam, nie troszczącym się równie o środki zbogacenia się, ale rostropnieyszym, lubo nie tyle odważnym; był to kupiec, jak go Trelawnéj nazywał, właściwie rozbóynik i przemytnik, pirat z przekonania, któremu z łatwością przychodziło dowodzić, że zupełnie godziwą jest rzeczą napadać drugich rozbójników, kompanij Wschodnio-Indyjskiéj wydzierać skarby niesłusznie nabyte, i tym sposobem mścić się na niéj za niesprawiedliwość monopolium. Otóż towarzysz Trelawneja. Tak kształcił się charakter Korsarza, którego obraz pierwotny, przez Lorda Byrona upiękniony, nieśmiertelności przechowany został. Wszakże Azya jest szkołą, gdzie się nie ceni życia ludzkiego, gdzie litości lub pobłażenia nauczyć się nie można. Żelazna ręka powinna tam władać temperamentami z ognia. Pod strefą olbrzymiéj natury niknie człowiek i wartość jego. Trelawnej, jako rozbójnik morski na wschodzie, występując pod przybraném dziwném nazwiskiem *Leonaloisa*, był zupełnie zdatnym do roli, którą przybrał; przemoc i chytrość były to jego cnoty; śmierć czekała każdego, kto się mu sprzeciwiał, a w téj to ciągłéj kolei walk, morderstw, niebezpieczeństwa, dzikich rozkoszy i śmiałych czynów, w tém nieustanném pojeniu się krwią, upływało życie jego, niekiedy tylko przerywane uniesieniami szlachetniejszych przymiotów jego duszy. Tkliwość dobrego pierwotnie serca jego, od kolebki w jego wnętrzu zaparta, tudzież głębokie zamiłowanie natury, odzywały się w nim niekiedy jeszcze z czarodziejską siłą. Było to niebo groźnemi burz obłokami osute, z którego czasami tylko i to chwilowo błysnął kawałek błękitu.

Pomijając krwawe i przerażające przygody Korsarza Angielskiego, idźmy raczéy za jego opowiadaniem po mniéj okropnéj drodze, i posłuchajmy kilka rzadkich wydarzeń, w które awanturnicze życie jego tak bardzo obfitowało. Młoda Arabka, imieniem *Cela*, była czas długi towarzyszką jego przypadków i wypraw. Pałająca ku niemu tkliwą przychylnością, wierna i niewinna, ognista jak *Antylopa*, jest ona w téj historyj jedną osobą niewieścią, która czyni przyjemne wrażenie. *Cela* i Trelawnéj dzielili wespół tę nieustanną zmianę losu, połączoną z życiem tak szczególném i awanturniczém. Dnia pewnego szli razem po brzegach skalistych wyspy Borneo. Szelest w liściach drzewa i pojawienie się ptaka, którego tam *faonem* zowią, zwróciły ich uwagę. Zoologija Arabów, cokolwiek przesądna, jak wszystkie ich umiejętności, twierdzi, że ptak *faon* zapowiada bliskość tygrysa.

»Miéj się na ostróżności« rzekła Cela, »patrz! *faon*, a więc i tygrys musi bydź nie daleko.«

»Karabin mój był nabity; wsadziłem drugą jeszcze kulę, oparłem broń o skałę i postanowiłem oczekiwać napadu źwierza tego. Gdyby mi się nie było udało zabić tygrysa za pierwszym wystrzałem, moglišmy rzucić się w morze i dostać się do szalupy, nie daleko ztamtąd stojącéy. Ukryliśmy się za krzaki, gdy szelest w liściach trwał ciągle. Ku mojemu wielkiemu zadziwieniu uyrzałem zamiast tygrysa, wychodzącego z chaszczów bardzo starego człowieka, okrytego całkiem włosami. Chciałem powstać i przemówić do niego, ale Cela zatrzymała mię i znak dała, żebym milczał. Starzec z wielką uwagą obeyrzał się w koło, schylił się, ażeby popatrzeć, czy nie ma kogo w pobliskości, a potém znowu się podniósł. Gdy się wyprostował, mogłem się dokładniéj przypatrzyć całéj jego szczególnéj postaci. Jego nadzwyczajna chudość, długie okrywające go włosy, wysokość wzrostu, szczególna długość nóg i rąk wprawiły mię w zadziwienie. Twarz jego była ciemna i głębokiemi poorana zmarszczkami, a białe długie włosy spadały mu z brody. Skurczony postępował szerokiemi krokami, przyczém opierał się na grubéj pałce, jaką

wyspiarze morza południowego nosić zwykli. Im dłużéj na niego patrzałem, tym mi się dziwniejszym wydawał. Mimo podeszłego wieku i onéj niemocy, pod którą zdawał się upadać, z głęboko zaklęsłych ocz jego błyskał jednek dziki ogień i złość szatańska. Zaledwie można go było uważać za człowieka, lecz był to raczéj jakiś twór pośredniczy pomiędzy człowiekiem i źwierzęciem, który większą przebiegłością i doskonalszym, jak źwierzę, obdarzony był instynktem, ale był niebezpieczniejszy i złośliwszy. Zmierzał ku morzu, usiadł na skale i ostrym kamieniem odrywał poprzyczepiane do niéj płazy morskie, które nie żując nawet, pożerał. Potém zbierał małże (*), które zabrał z sobą, owinąwszy wielkim liściem z drzewa. Wzrok jego spoczął chwilę na barce, nie daleko brzegu stojącéy, umył ręce i prędszym jak przyszedł, oddalił się krokiem,«

»Pójdę za nim!» zawołałem i wybiegłem z mojego ukrycia. »Nie, nie czyń tego,« mówiła Cela, »starzec ten jest to *Dszungel Admie*, żaden źwierz drapieżny nie jest tak niebezpieczny i tak okrutny, jak on.» Co Cela pod tą nazwą *Dszungel Admie* rozumiała, dowiemy się niżéj. »Jest sam,» rzekłem, »więc się go nie boję, a strzelba moja dwoma kulami nabita.« Poszedłem istotnie za nim, ale nie tą ścieżką, którą on się udał. Owa ścieszka tak ze wszech stron była zarosła chaszczami, że zaledwo było można domyślić się, iż przez las tak gęsty wić się mogła. Słyszałem kroki dzikiego starca i widziałem niekiedy, jak pałką odginał gałęzie, w drodze mu zawadzające. Milcząc szliśmy tym samym sposobem czas niejaki przez las. Ciągle postępując za naszym dziwnym staruszkiem, nie przeczuwającym naszéj obecności, zwróciliśmy się nakoniec w prawą stronę, przeszliśmy kawał płaszczyzny, przebyli łożysko wyschłego strumienia leśnego, a nareszcie ujrzeliśmy przed sobą ścianę skalistą, wysokości szesnastu do siedmnastu stóp. Mchem okryta pinija wznosiła się nad tą skałą i zasłaniała ją swoim wierzchołkiem. Dostawszy się starzec do tego drzewa, wylazł nań, wydrapał się na dosyć mocną gałęź i usadowił się na niéj, jak majtek przyczepiony do żerdzi żaglowéj, rękami i nogami. Potém wdarł się na sam szczyt drzewa, a ztamtąd spuścił się na skałę. Z największą przezornością, aby nas nie spostrzegł, naśladowaliśmy go we wszystkiém, co robił. Postępował rzędem całkiem prawie nagich skał, po których tu i owdzie tylko kilka pinij wzrastało. Schylił się koło wpół spruchniałego już pnia, maiącego u dołu kilka jeszcze młodych latorośli, obciął je, związał skręconą trawą i wziął z sobą. Żadna z czynności jego nie uszła uwagi naszéj; zbaczał w różne strony, zbierał owoce z drzew bananowych i *mango*, wyrzucał, które mu się niedojrzałemi zdawały, a wreszcie dostał się na otwarte pole, podobne do amfiteatru. Ziemia w oném miejscu była zrównaną i wysypaną piaskiem, a piękne drzewo, kwieciem i białemi pąozkami okryte, ocieniało zbudowaną bardzo dobrze chatę ze trzciny. Nie mogłem bynajmniéj nie dziwić się nad dobrym smakiem starego pustelnika i malowną okolicą, którą sobie za siedzibę obrał. Po jednéj stronie, jak mur, rozciągała się nizka ściana skalista, okryta wonnemi krzewy, których zapachy w koło powietrze napełniały. Skała ta, gładka, jak szlufowany marmur, tworzyła w uboczy rozkoszną grotę, przed którą w blasku słonecznym kołysały się wiotkie gałęzie drzew płaczących i białą korą swoią, mile przerywały zieloność liści. Za pustynią w nieprzeyrzanéj dali rozciągał się las ciemny krzewin kolczastych, z pomiędzy których wznosiły się daktyle leśne, kaktus, akacya, banan i czarnolistkowy bambus. Poruszenia starca zajmowały mię szczególnie z powodu nadzwyczajnéj onych zręczności, w czém wszakże przebijał się więcéj instynkt źwierzęcia, niźli z winność człowieka. Tuż koło saméj chaty złożył niesiony ciężar, a potém schylił się, aby wleźć do chaty, bo raczkiem tylko można było dostać się do niéj, któréj dach z liści palmowych o dwie stopy tylko od ziemi odstawał. Gdym się zbliżał, dla oglądania pomieszkania tego

(*) *Konchilie. Pławy morskie, skorupiaste, iako: ostrygi, raki, żółwie morskie.*

szczególnego pustelnika, usłyszałem szelest za sobą, obracam się i postrzegam węża grzechotnika, jak oczy błyszczące, gdyby dyjamenty, wlepił w *Celę*, o kilka kroków tylko stojącą odemnie. W téj chwili nic nie widziałem tylko jéj niebezpieczeństwo i pospieszyłem ku niéj. Wąż odskoczył w chaszcze i zniknął. Trzymałem Celę w objęciu, gdy z przerażeniem wykrzyknęła: »*Dszungel Admie!*«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Niebezpieczeństwa z używania chleba spleśniałego.

Nic nie masz tak szkodliwego dla zdrowia, jak używanie żywności spleśniałéj. Najczęściéj to bywa z chlebem; mieszkańcy bowiem wiejscy, piekąc chleb każdy na własną potrzebę, muszą niekiedy przez dni kilkanaście używać jednego pieczywa. Jeżeli zaś chleb był nie dobrze wypieczony albo leży w mieyscu wilgotném, pleśń natychmiast nań napada i spożyta z chlebem staje się przyczyną cierpień, które w symptomatach bywają niekiedy zupełnie podobne do pochodzących od gwałtownéj trucizny. Ból głowy, kolki gwałtowne, womity, senność i czasem konwulsye są bardzo częstym skutkiem tego pokarmu. Dzieci najbadziéj tym symptomatom ulegają. Słonina zjełczała sprawia też niekiedy bardzo przykre cierpienia i nawet bywa przyczyną śmierci. Wszystkie te wypadki przypisujemy pospolicie innym przyczynom.

Jeden z Dzienników Angielskich zawiera następujące wiadomości, o stosunkach złota i śrebra w teraźniejszym świecie: »P. *Jakob* w swém szacownêm dziele o kosztownych kruszczach, bardzo powątpiewa, czy naprzyszłość kopalnie wydadzą równą ilość drogich kruszczów, i konsumcyą na stroje, pozłacanie, i t. d. zaspokoją. Możemy przypuścić, że, w okrągłéj liczbie, ilość istniejących w roku 1809 monet, była 380 milionów funtów szterlingów; wciągu 20 lat, a zatém do 1829 r. summa ta spadła na 313 milionów; w 59 latach przed 1810 r. kopalnie wydawały rocznie do 8 milionów; od 1810 do 1829 tylko po 5 milionów. Za to naznacza roczne zużycie drogich kruszczów na 6 milionów. Niespokojny stan Nowego Świata, podczas wyżéj wymienionego przeciągu czasu, dostatecznie wyjaśnia wielkie zmniejszenie; jednak kilka kopalni, w których teraz pracują, wielkie dają massy srebra. Mnóstwo złota, wydawane teraz przez górnictwa Rossyjskie, a które wynosiło w r. 1830, 700,000 funt. szter: może na przyszłość zmienić wartość złota i srebra; a gdyby, co naprzód w Brazylijskich kopalniach odkryto, że złoto żyłami w ziemi się znajduie, i jest podległe podobnym prawom, jak inne kruszcze, doprowadziło do dalszych działań i skutków, czyż nie możemy na przyszłość w głębokości, do któréj dotąd niedoszli, natrafić na żyły największéj wagi? Bryła 25 funtowa, została znalezioną w Rossyi, inna 21 funt, w Listopadzie 1832, w kopalni złota Cesarsko-Brazylijskiego towarzystwa. W ostatnich czterech latach, kopalnia ta wydała 14,000 funtów złota, które można za przeszło 600,000 funt: szterl: liczyć. Jeżeli to jest już raz dowiedzionêm, że złoto znajduie się żyłami, może więc bydź, że takowe będą obficie odkryte, może w wielkiéj głębokości. Kopalnie miedzi wydają stami beczki kruszcu; jakaż bezcenność złota by nastąpiła, gdyby znaleziono kiedyś takie massy, gdyż każda beczka podług teraźniejszéj ceny kosztowałaby przeszło 100,000 funt. szterl.«

— *Praktyka lekarska.* — Doktor F.*** z Montpellier, zwykł, przybywając do miasta, gdzie nie był znany, ogłaszać przy trąbie, że zgubił swego psa. Oddającemu ofiaruje 25 lujdorów. Obwoływacz ogłaszał wszelkie znaki psa, również i wszystkie tytuły Doktora wraz z jego pomieszkaniem. Wkrótce mąż ten, był przedmiotem rozmów całego miasta: »Czyż WPan już wie, że przybył sławny lekarz? Musi bydź bogatym, bo daie 25 lujdorów temu, kto mu jego psa przyniesie.« Wprawdzie pies się nie znalazł, ale za to liczni pacyenci.
